



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

OSOBISTE WSPOMNIENIE

Z ŻYCIA MARYI SOMERVILLE,

przez jej córkę

Martę Somerville.

(Personal recollections from life of Mary Somerville, by her daughter, Martha Somerville—London—1874).

(Dalszy ciąg).

System Fröbela jest niezaprzecznie wybornym w zastosowaniu swojem do ochron i wstępnej klasy szkółek elementarnych. Jako taki oddaje on też wielkie usługi dziecku ubogiego, takiemu w ogóle dziecku miejskiemu, nad którym rodzina czuwać nie może, które wreszcie ograniczone kółkiem ciasnem, nie może mieć ani swobody dzieciństwa potrzebnej, ani pola dla rozbudzającej się czynności umysłowej, dla tego wrażeń potrzebującej, aby z nich wyobrażenia wytwarzać. Ogródek Fröblowski wszystkie te braki dziecka klaszarnego w możliwie najlepszy sposób usuwa, tam przecież, gdzie położenie jest szczęśliwsze, dobrobyt tej rodziny większy, nie godzi się dla ulżenia sobie ciężaru obowiązków wychowawczych, poddawać istotki małej karności regimentowej, skłaniając tym sposobem myśl młodą, aby się koniecznie w oznaczonym kierunku rozwijała, jak drzewko ku stronie pewnej przez twarde palik nagięte. Orginalność umysłu, samodzielność charakteru zyskuje ogromnie przez swobodę pierwszego rozwoju myśli, pierwszych ulubień i zamiłowań dziecka, które się następnie przetwarzają na skłonności i gusta człowieka, na kierunek zdolności dlatego niezawodny i od smutnych omyłek wolny, że jest dziełem urodzonych ducha porywów, a nie wynikiem sztucznego

szepienia. Jak zaniedbane, tak zbyt na paskach kierującej niem troskliwości prowadzone dziecko, traci zarówno. Bo albo ciemnota rozwoju nie dopuszcza, a w ciżbie ludzkiej bezbronna istota młoda tak nie raz trawiona bywa, jak kwiatek przy gościńcu rosnący; albo będzie forsowne, konwencyonalne pielęgnowanie, które niemniej iskrę wrodzonego gieniusza gasi i strychulem swoim ducha do mierności porządkuje. Maryi Somerville dostała się łaska poświęcająca szczęśliwego w moim przekonaniu dzieciństwa i rozwijała się też szczęśliwie w naturalnem zasobów swych bogactwie. Wielkiem dzieciństwa tego błogosławieństwem było zetknięcie się z naturą i zamiłowanie jej żywe; że przytem kielkował już zaród tej siły ducha, przez którą nawet w ukochaniach swoich osobistość jej bierną pozostać nie mogła, dawało jej to wczesne nad podziw pragnienie wiedzy: Marya Somerville rozpoczęła w jedenastym roku życia studia astronomiczne, rozpoczęła je najzupełniej samodzielnie z okien dzieciniego swego pokoju. Były w domu dwa stare globy niebieskie; nauczyciel szkółki gminnej, wezwany przez matkę do zajęcia naukowego dziewczynki przez wieczory zimowe, objaśnił ich znaczenie i użyczenia nauczył, i oto już początek zrobiony. „Mój pokój — pisze — miał okno na południe, a mały alkierzyk, z którym się stykał, na północ; przepędzałam w nich kolejno długie godziny obserwując gwiazdy. Głównie mnie zajmowała i w uwielbienie wprawiała zorza północna, której blask bywał niekiedy przy pierwszym swym wschodzie tak do błyskawicy podobnym, żem stawała zestraszona. W dzieciństwie mojem zjawiała się też kometa, która przenikała mnie grozą ogromną.

Gminny ów nauczyciel, niejaki mister Reed, uczył też prywatnie łaciny, dziewczynka miała i na to ochotę, ale jej powiedziano, że nie jest to nauka dla niej i trzeba było na tem poprzestać. Wprawdzie nie na długo, przyszła z czasem kolej i na łacinę. Trzynastoletnia zaczęła jej się uczyć, też najzupełniej sama „aby mieć uczyć się czegoś.“ Nauczyła

się jej tyle z książek znalezionych w domu, że mogła czytać Komentarze Cezara. Było to w zimie; w lecie pojechała w odwiedziny do ciotki, do tej która była jej karmicielką, a potem matką, swiekrą. Przyszły ojciec jej męża, a pierwszy jej młodego ducha przyjaciel i sprzymierzeniec, został powiernikiem tej klasycznej tajemnicy. Nie zganil jej weale a przeciwnie pierwszy objawił młodej dziewczynie tę prawdę szlachetną, że niema żadnego moralnego prawa, któreby wydziedziczało kobietę ze skarbów nauki i wiedzy przez ludzkość zdobywanej. Powiedział jej o kobietach starożytnych, wysoko w najwyższych gałęziach nauki wykształconych i czytywał codziennie Wirgiliusza z przyszłą synową swoją, która kochała go też potem przez życie całe sercem córki rodzonej. — „Nigdy w życiu nie byłam szczęśliwszą, jak przez te kilka miesięcy, w Jedburghu spędzone,“ — pisze w pamiętniku. Otworzono jej rajske wrota prawdziwej, a słodkiej, czystej poezyi, powiedziano, że brama wiedzy nie jest przed kobietą zamknięta — i istota jej młoda przeniknęła się uczuciem radości najwyższej.

Ale trzeba nam w tył wrócić, aby poznać cały przebieg zajmującego życia. Ta matka, która uważała, że nauka łaciny nadweryżyłaby w czemś obowiązkowi kobiety, musiała tworzyć sobie jakieś obowiązki tych pojęcie i córkę do spełnienia ich wkładać. Bujanie z ptaszkami, obserwacje ich życia, w wysokich ostach podwórza czynione — uległy pewnemu ograniczeniu w siódmym roku życia, i była to epoka, w której Marya Somerville rozpoczęła niejako czynną praktykę życia, jak pisze we *Wspomnieniach* swoich. „W siódmym, ósmym roku zaczęłam już być użyteczną w domu, obierając owoce na zachowanie zimowe; łuskając groch i bób, dając jeś drobiowi i doglądając wyrobu nabiału w mleczarni, gdyż trzymaliśmy krowę.“ Była to przecież miss Fairfax, córka przyszłego admirała, córka rodu tworzącego dwa parowstwa i pochodząca w prostej linii od Fairfaxów z Cameronu, baronetów i parów szkockich. Rodzina jej zachowała nawet w wysokim

stopniu arystokratyczne przesady, którym przecież pracowite zajęcie życia nie zdawało się nie ubliżać, i do dziś dnia spotykamy w szczegółach życiowych kobiet angielskich to samo. Panny z najwyższych domów łączą się od dziecka z żywym ruchem otaczającego je życia i temu niewątpliwie winne są kobiety angielskie swoje zamiłowanie domu i rodziny, swoją uczciwość obyczajów, jeżeli tak surowo wyrazić się można, bo nie wychowywane jak lalki, nie żyją ich życiem sztucznym, nabierają z młodu nawyków dobrych i zamiłowań zdrowych, i życie ich zyskuje ten żywy interes, który usuwa zeń nudę, będące objawem próżni wewnętrznej i w trop za tem idące pragnienie zabaw, rozrywek ustawicznych, z całym ich orszakiem nieszczęsnym strojów, zbytków i lekkomyślnej pustoty. Oczynne gospodarne życie kobiet angielskich wpływa na urobienie powagi ich charakteru, a jak widzimy dziś z żywego przykładu tak literatury angielskiej jak i społecznej, humanitarnej działalności, nie to nie przeszkadza, aby umysły kobiet rozwijały się, inteligencja kształciła i życie intelektualne było wyższem niż gdzieś indziej. Powiedziałbym, że to im pomaga nawet i niech kto chce uważa to za heretykę, powtarzam, że do pełnego rozwoju osobistości M. Somerville pomogło wielce to, że obierała groch z tyczek i karmiła indyjskie kury swojej matki. Nie stała się lalką salonową, nie utonęła w nicości, nauczyła się pracy, zrosła z pojęciem obowiązku; nabywając drugostronnie szacownego daru praktyczności. Ona sama nie gardziła bynajmniej i wiadomościami gospodarskimi, które zyskane z młodu znajdowała potem jako matka rodziny niby dobry zapas, wczesnie nagromadzony. Wesoło i z widocznym uczuciem przyjemności opisuje w swoim pamiętniku pewne tragiczne zdarzenie pękniętych butelek, w których gotowały się konserwy z agrestu, i wcale poważnie daje przepisy na zimowe tych rzeczy przechowywanie. U jej matki zakopywano zawsze w ziemię butelki z tak przygotowanym owocem, co jak uczy, jest wybornym sposobem niedopuszczania do nich rozkładającego powietrza. „Raz—pisze—znaleźliśmy w ogrodzie pewną liczbę butelek, w których owoce były najwyborniej zachowane, a nikt nie pamiętał, kiedy je tam zakopano.“

Zyskiem życia o wiele większym od robienia trwałych konfitur, był dla Maryi Somerville fakt ten, że wśród gospodarczych zajęć swej młodości stykała się naturalnie z życiem, z ludźmi i serce jej, serca uczucia rozwijały się prawidłowo pod ciepłym technieniem wiosennym towarzyskości. Jak ją to ubroniło od salonowej lalkowości, tak ochroniło drugostronnie od niemniej skrzywionego istnienia zasuszonych w papierach, książkowym jedynie, konwencyonalnym życiem żyjącej istoty. Umiiała czuć, kochać, miała gorącą pierś kobiety i dostała też w zamian cały dział szczęścia kobiecego: była żoną i matką, wypełniła wszystkie obowiązki niewieściego przeznaczenia i posiadała wszystkie jego radości. Uczoność nie odgradziła jej od tego, bo uczoność owa była tego dobrego rodzaju, co serca nie wysusza i życiu poezji, duchowi poetyckości nie odbiera. Autorka Geografii fizycznej zachowała do samej śmierci gorące zamiłowanie Danta, Szekspira i wielkich tragików greckich, których (notabene) czytywała w oryginale. Sofokles był jej ulubieńszym nad innych.

I po grecku nauczyła się sama, lecz nim do tego przyszło, żyła prostem, naturalnym, spokojnym życiem gospodarnie chowanej dziewczynki i zanotowała to sobie w pamiętniku, że matka jej miała bardzo piękną bieliznę własnego wyrobu. „Sieliliśmy dużo lnu, który potem przedły nasze dziewczki. Z grubszej przedy robiono płótno w Burntisland, bielili się ono następnie u nas na błoni; cieńszą przedę posyłałismy do Dumferline, gdzie była fabryka bielizny stołowej.“

„Szczęśliwe dzieciństwo! Niewątpliwie prądki jej matki musiały jej śpiewać, musiały ją uczyć tej wspaniałe brzmiącej, rycerskiej balady o Dumferlinie, z której Walter-Skot wziął tak bogaty materiał na stworzenie jednego z swoich arcydzieł. Miała rok dziewiąty, gdy ojciec na czas pewien przybył do domu i zauważył, że pora już, aby dziewczynka uczyła się czegoś więcej niż śpiewów przadek i jaskulek. Wprawdzie czytywała prócz tego biblię i uczyła się katechizmu podług purytańskiego wyznania szkockiego, które było wyzna-

niem jej rodziców. Nauka katechizmu odbywała się w kościele i ulegała potem publicznemu tamże egzamenowi, co było dla niej wielkim przejściem gdyż była bardzo nieśmiała. Jedyna rzecz, na którą się potem w życiu skarży, o której z pewnym żalem już u końca tego życia wspomina, była nieśmiałość, która nie opuściła jej nigdy. Nie było to wcale wynikiem nieświadomości siebie i sił swoich, nie... Było to tylko uczucie jakiegoś wstępu do popisu osobistego. Przyczyna tego nie leżała bynajmniej w lekliwości, którą dobrze określa w ojcystym swym języku przez: „Timidity“ i pisze „I was but shy“ co trzeba by chyba przełożyć: „Byłam jedynie skromnie skrytą“.—Przytem nie miała zbyt bystrej pamięci dosłownej; w historii —może że i w tem była samouczkiem — zapomniała dat a często i nazwisk, rzecz tylko samą zachowując. Faktem, który pedagog zaznaczyć powinien, jest to, że tylko dla matematyki i muzyki miała jakgdyby pamięć drugą. Nigdy, jak pisze, nie zapomniła żadnej formuły matematycznej i tkwiła jej każda w pamięci lata długie. Pamiętała również każdy przegrany utwór muzyczny. Miała też wielki talent i wielkie zamiłowanie do muzyki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA (1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Przyjazd pani Niemirowej do Różanki. — Pobyt. — Rozmowy. — Jan Rzewuski. — Kwiaty z Podlesia. — List — Wyjazd nagły Pawła Niemiry.

W Różance Gertruda każdą godzinę liczyła. Konni posłańcy na dwie mile rozstawieni, skoro ujrzeni karetę, co koń wyskoczy dali znać do dworu, wyjechała więc co rychlej lekkim pojazdem na przyjęcie upragnionego gościa.

Tkliwie i rzewne było powitanie dwóch tych kobiet. Gertruda zaglądała, czy niema nikogo więcej, ale pani Niemirowa objaśniła ją odrazu...

— Mój syn, zasyła pani wojewodzinie swoje uszanowanie i pokłony. Został na gospodarstwie, bo chudoby ojcowskiej musi pilnować.

We dworze wojewodziny wszystko było przygotowane na przyjęcie dostojnej wdowy. Gertruda, na Podstolinę złożywszy cały ciężar gospodarstwa domowego, swobodna, wszystkie chwile przepędzała ze swym gościem. Im więcej poznawała sędziwą matronę, tem bardziej ją ceniła i przywiązywała się do niej.

Pod rozłożystym jaworem była ławka wygodna, ulubione miejsce Gertrudy; stąd widny był cały malowniczy krajobraz; polubiła i wdowa to miejsce tu więc przesiadywała najczęściej, długie godziny trawiać na rozmowie, a wątku nigdy do niej nie brakło.

Po kilku dniach pobytu, ośmielona serdecznością młodej niewiasty pani Niemirowa, niespodzianie rzuciła pytanie...

— Cóż dalej poczniesz ze sobą, moje drogie dziecko? Jesteś w najpiękniejszej porze życia dla kobiety; wszystko dał ci Bóg, czego człowiek tylko żywnie może zapragnąć... młodość, urodę, majątek...

Gertruda na te słowa ciężko westchnęła i piękne oczy łzami się zaperliły.

— Moje dziecko! przepraszam, mówiła wdowa pomieszana, jeżeli ci tem pytaniem boleśnie dotknęła. Pan Bóg widzi, że nie miałam nic złego na myśli i jedynie twoje przyszłe szczęście...

Wojewodzina porwała jej rękę, a ucałowała ją położyła na swej głowie:

— Matko moja droga! uspokój ten tłum niesfornych myśli, które mi rozpierają skronie. O! ileż ja walc strasznych przeżyłam, ilem przeboleła, Bóg to wie jeden...

— Inagrodzi ci to moje dziecko! tklawie przemówiła sędziwa matrona, nie trać nadziei, dla ciebie

ma świat jeszcze pełną czarę słodkiego napoju, gdy mnie podaje gorzki kielich piotunu!

— O matko! jak możesz tak mówić! Czyż nie masz kochającego syna? zawołała wojewodzina niezwykle ożywiona.

— On jeden mnie przywiązuje do życia i całą moją pociechę stanowi po zgonie mego ukochanego męża. Ach! droga Gertrudo! ty niemasz jeszcze żadnego wyobrażenia, co to jest być towarzyszką człowieka który cię serdecznie kocha i poważa, człowieka rozumnego i powszechnie szanowanego, a takim był mój Tadeusz! Miłość czysta i prawdziwa zawiodła nas na stopnie ołtarza i od tej chwili, raj ziemski otworzył się przed memi oczyma. Kiedy jeszcze pierwszy raz zakwilił nasz Paweł, mąż mój padłszy na kolana przy łożu mojem, najprzód Bogu dziękował za dar tak nieoceniony, a potem mnie całował i nie miał dosyć słów gorących do wypowiedzenia swojego szczęścia. Wykarmiłam dziecię nasze własną piersią, chował się zdrowo i czerstwo, rysami twarzy jak całą postacią przypominając zmarłego ojca. Szlachetny, odważny, może więcej energiczny, kocha mnie całym sercem i tklawą miłością otacza. A jednakże nieraz—mamże ci wyznać prawdę, gdy jestem samotna, czuję brak mego Tadeusza, cięży mi stan wdowieństwa, nieraz też zaleję się gorzkiemi łzami. Są, moje dziecię, troski sędziwej matki, do których dźwignia tylko ramię małżonka jest zdolnem: syn ich swoim chociaż silniejszym nie podźwignie; zostają więc ukryte w tajemnicy i gryzą tylko serce biedne!

Słowa te wywarły silne wrażenie na młodej kobiecie, pochwyciła Niemirową za rękę i zapytała rzewnym głosem.

— A prawdziwa przyjaciółka chociaż słabsze ma ramiona, nie może im ulżyć?

Pani Niemirowa nie odrzekła, tylko głową dała znak, że i to nie wystarczy. Obiedwie smutne i zamyślane powróciły do domu.

W parę dni nadjechał z zamku wojewody sędziwy Rzewuski, a za nim kilka fur ładownych, na których były upakowane obrazy i kosztowne sprzęty; własność wyłącza Gertrudy. Rozpakowanie ich i ustawienie we dworze Różanki zabrało niemało czasu tak Gertrudzie jak i Podstolinie i pani Niemirowej, która chętną pomoc dała a użyteczną, pamiętając dawne, tak dobrze znane magnackie pałace i ich umeblowanie.

Zamek i majątności zmarłego wojewody, objął już najbliższy jego krewny, któremu zdał wszystko w największym porządku Rzewuski, a kiedy chciał się zegnąć ze swą dawną panią, Gertruda z podziwieniem przemówiła:

— I ty, panie Janie, chcesz mnie w mojem sieroctwie opuścić! Ty najbliższy przyjaciel i powiernik zmarłego męża? Jam myślała, że mnie równie kochasz i przyjdiesz z pomocą swojemu doświadczeniemu...

Słyszając te słowa pani Niemirowa wyrzekła:

— Moja wojewodzino! Pan Rzewuski tylko przez delikatność zegnał się z panią, ale tej myśli sam nie miał, za to ci ręczę.

Rzewuski na te słowa, wzruszony do głębi po chwili namysłu drżącym głosem odpowiedział:

— Nie spodziewałem się takiego szczęścia, abym mógł drogiej mojej pani służyć, ale gdy słyszę jej życzenia i wolę, z serdeczną radością pozostanę wiernym do grobu wdowie mego ukochanego pana wojewody.

Gertruda mile to oświadczenie przyjęła, bo zbywała się już wszelkich kłopotów zarządu, zdawszy wszystko w tak sumienne ręce; a pragnęła tego gorąco, ażeby z całą swobodą odetchnąć mogła w rodzinnym zakątku, który w niej tyle słodkich wspomnień rozbudzał.

Nad wieczorem przybył konny posłaniec z Podlesia z listem pana Pawła do matki i małym pudełkiem. W nim był piękny wianek świeżych w ziemię otulonych niezapominajek i kilka wiązanek konwalii, które zarówno lubiła.

Syn w liście swoim donosił, co się działo w domu, jak idzie gospodarstwo, a wspominając o skromnym gościńcu swoim, pisał:

„Mojej drogiej mateczce posyłam najpiękniejsze dary naszej ziemi. Mówiłaś mi nieraz, że mój ojciec, gdy ci wyznawał swą miłość, podał bukietek niezapominajek z konwalią i odtąd te skromne kwiatki są najmilszymi dla ciebie. Niechże one bu-

dząc świętą pamięć jego, twoją miłość, najukochańszą matko, zwróć do syna, który tęskny wygląda twego powrotu“.

Pani Niemirowa podała list otwarty Gertrudzie, która przy końcu wyczytała do siebie przypisek:

— „Pani wojewodzinie, droga matuchno, oświadcz moje ukłony i pozdrowienie, niech Bóg ją dobry pocieszy w jej sierotwie, a zasłużyła na pociechę i szczęście w swej niedoli“.

Kilkakrotnie go odczytała i nie odrzekłszy słowa, zwróciła.

Kiedy w parę dni zasiadły razem na ulubionej ławeczce pod jaworem, Gertruda po obojętnej rozmowie o gospodarskich zajęciach, przemówiła niespodzianie:

— Mój Boże! wszyscy mnie życzą szczęścia, i ty Matko i pan Paweł, a żadne z was nie zapyta, co dla mnie może stanowić szczęście? Droga pani mówisz, że mam wszystkie warunki do niego, syn jej wyznaje, że na nie zasłużyła, a ja się pytam, gdzież ono jest? i jakimże trudem i poświęceniem zdobyć je można?

Matrona spojrzała na nią zdziwiona i pełnym słodczym głosem odrzekła:

— Szczęście, moje dziecię, zawisło od wyobrażenia człowieka: kto wiele żąda, pewnie go nie dostąpi....

— Miłosierny Boże! zawołała Gertruda z wyrazem rozpaczki, załamując ręce, a czyż ja cudów żądam? pragnę, ażeby mogła przeżyć jak ty, kochana matko, młode moje lata i doznać takiego rajy ziemskiego, którego wrota otworzyłaś przedemną...

— Czyż możesz wątpić o tem, czyż te wrota zawarte przed tobą? Jam szczęście poznała w późniejszym wieku od ciebie, bom liczyła 28 rok życia, wstępując na ślubny kobierzec.

Gertruda gorzko się uśmiechnęła i na wpół z płaczem zawołała:

— Ciebie, pani, zawiodła tam prawdziwa miłość: aż cię ukochał serdecznie, gdzież ja znajdę człowieka w którego bym uwierzyła, że mnie szczerze kocha?

— Błuznisz, moje dziecię, przeciw Bogu i światu... Dzięki niebu, u nas w starych rodach nie znajdziesz połości i nikiemników, którzyby kłamali uczucia serca dla zdobycia majątku.

W tę chwilę służąca przyniosła pani Niemirowej list w dużej kopercie; drżącą ręką rozpieczętowała, ale zaledwie go odczytała, zbładła jak chusta.

Gertruda przestraszona spoglądała drżąc z trwogą; sędziwa matrona prędko przyszyła do siebie, podała jej list otwarty. Ona przebiegła go szybko oczyma, a potem z boleśnym uczuciem rzucając się w jej objęcia, zawołała łkając...

— To takie moje szczęście, wszystko odemnie ucieka, co ukochałam, co mi najdroższe w życiu! O matko kochana! ratuj biedne dziecię swoje!

Pani Niemirowa, tuląc ją do piersi z miłością, spostrzegła, że nie zważała na list wyrzucony na ziemię. Porwała go, ale poznawszy pismo z dopisem od góry: „Do rąk własnych, dla przeczytania samej matki“, schowała go pośpiesznie. Gertruda to dostrzegła...

— Więc to list zapewne od pana Pawła z pożegnaniem....

— Tak, moja droga, ale odczytam go później, bo teraz zbyt jestem wzruszona.

— Nie taj mi przedemną najdroższa pani, mówiła składając małe rączki, odczytaj sama i powiedz mi potem co pisał....

Pani Niemirowa odeszła do swej alkowy smutna i złamana. Kiedy ujrzała się samą, rozdarty koperkę, zaczęła czytać, nie mogła uitać głębokiej boleści i zalała się łzami. Syn, z dzieciinną otwartością, odkrywał tajemnice z głębi serca ukochanej rodzicielce....

— „Pierwszy raz nieznane a gwałtowne uderzenie serca uczułem na widok tak pięknej i uroczej kobiety; łudziłem się czas jakiś, że potrafię pozyskać jej wzajemność, ale po długim rozmyśle, przejrzałem zdrowo i postanowiłem po mężku, zerwać te więzy różanej nadziei, które mnie u stóp Gertrudy krępowały. Myśl sama, że może mnie posądzić o nikiemną podłość, iż zapragnąłem jej majątku, zgrozą mnie przejęła. Ach! Matuchno złota, moja święta patronko i pocieszycielko, jak ja ją kocham, tego wysłować nie potrafię. Na kolanach, po całych dniach wpatrywałem się w jej cudne

oblicze i z tych oczu tak wymownych, wciągał w siebie szczęście, które daje niebo tylko wybrancom swoim. W samotności po odejściu twoim, kochana matko, po długich marzeniach, uderzyła go dzina rozważki. Jaż to chudy pacholek, śmiem się gać tak wysoko i stawam w rzędzie zalotników, na których przyuczyło się jej spojrzenie rzucać pogardę; ja, człowiek honoru, miałbym być posadzonym o chciwość na jej posąg a może i ona sama rzucałaby mi to słowo straszniejsze niż kula! Boże mój, ile wycierpiałem! W pośród tej walki otrzymałem list od dawnego kolegi i przyjaciela z serdecznym pożegnaniem, że idzie na nową wyprawę, a w końcu dodatek, czy i ja na nowo nie pospieszę do ich grona. Wtedy powziąłem niezłomne postanowienie, odetchnąłem swobodniej. Tak pójde!.. albo zyskam sławę, lub też grób znajdzie, w którym biedne serce bić przestanie. Wtedy, posłałem ci, matko, kwiaty twoje ulubione, a dziś cię żegnam, obiegłszy wszystkie zakątki naszego dworku i ogrodu, które uświęciła Gertruda“...

W końcu błagał o przebaczenie, że bez jej rady krok tak stanowczy zrobił, prosząc o błogosławieństwo i modlitwę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SOFONISBA

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Emanuela Geibla

przełożył z niemieckiego

Józef Grajner.

(Dalszy ciąg).

AKT III.

(Główna kwatera Scypiona w napół rozwalonym zamku Massylis. Wysoki przysionek; w głębi na środku potężny filar, dźwigający dwie wielkie arkady opatrzone zasłonami. Arkada z prawej strony odkrywa daleki widok na obóz; arkada z lewej, prowadzi do niszy, w której się mieści łóżko obozowe Scypiona. W drugiej kulisie na lewo, drzewi; na przeciwko nich z prawej strony mocno wystająca spiżowa furta. Z przodu sceny, na lewo, stół,—na nim zwoje pergaminu, mappy tabliczkowe i przyrządy do pisania. Zasłona niszy opuszczona; widok na obóz otwarty. Straż u wejścia; w głębi w czasie scen następnych ruch nieustanny).

Scena 1.

Leliusz i Sewer, z obozu wchodzą do przysionka.

LELIUSZ

Witaj, Sewerze, witaj nam w Massyli,
Zawsześ jest słowny, nie dasz na się czekać.

SEWER

Zły taki wojak, co lubi odwlekać!
Zdaleka do was wróciłem w tej chwili,
I nienadarmo—śmiem się sam pochwalić,
Dałem się słońcu pustyni opalić.

LELIUSZ

Cóż na południu?

SEWER

Spełnione życzenia.
Złotem, namową wszystkie pokolenia
Od Słonych-Jeziór po Czerwone-Góry
Dla nas zjednane. Gładko szło w tej sprawie,
Bo lud był w sobie gniewny i ponury.
Na kartagińskie jarzmo—toż nas prawie
Jak zbawców witał.

LELIUSZ

Bogi sławić ino!....

SEWER

Wracałem nazad bogatą krainą,
Żyznem podgórzem Dolnego Atlasu,
I dla obozu dosyć mam zapasu
Trzód, zboża, kufłów wybornego wina.
A gdzie Palmowa ściele się dolina,
Jak jakieś widma nigdy niewidziane,
Spotkał nas jeźdźców dzikich rój upstrzony,
Murzyny w dziwny sposób malowane....
Na głowach mieli pierzaste korony
Z kości słoniowej ciosane oręże.
Getule, którzy w straszne skóry węże,
Niby w kolczugi, oblekają ciała,
Na zebrach, z łuki, których każda strzała
Ma grot, śmiertelnie w ostrzu jadowity.
Ostatniej wojny jest to tłum rozbitny
Więc krwi punickiej okrutną ma żądzę.

LELIUSZ

Scypion się mocno ucieszy....

SEWER

Tak sądzę;

Wszak dla tuziemców zawsze względy chował,
Nadmierne może.

LELIUSZ

Bo ich potrzebował!

Zawsze powtarza, że nam Afrykanie
Tylko Afrykę dać mogą....

SEWER

Choć zdanie

Jest pewnie mądrym, przecież nie tak było
Za dawnych czasów. Miecz swego siłą
Rzym dawał ludom prawa, korne służby
Czyniąc z podbitych....

LELIUSZ

Tak—i szereg długi

Ciągnął się zatem rokoszów....

SEWER

Tłumiono

Je niemniej zawsze.

LELIUSZ

By puszczyć skrwawioną

Wraz z kłutą ludów dostać potem w dani;
Że Scypion tego nie chce, któż mu zgani?

SEWER

Nie ja, na Marsa! Dla mnie to wódz Romy
I jej potęgi obraz jest widomy.
A choćby nawet nie to dostojęństwo,
To jego gieniusz, jego dzielne męstwo
Kazałoby mi schylić przed nim głowę,
Ale starego dziwią sztuki nowe.
Nie łatwo mu się poznać z ich taktyką
Nietylko sojusz z pustyni tłuszcza dziką,
Lecz szyk bojowy, szturm twierdzy, wojsk ruchy,
Wszystko to dla mnie zamęt zawieruchy:
Zamiast wojennych rad, nagłe zamiary,
Z tajnego źródła objawień czerpane!
Zawsze się trwogą przenikam, ja stary,
Kiedy ten młodzian przez tory nieznane
Dążąc zuchwale, jak w kości się zdaje
Grać z wypadkami.

LELIUSZ

Stare obyczaje

Gina, Sewerze. Nowe świata dzieje
Przez nowe muszą toczyć się koleje.
I starej szkoły wojownicza sztuka
Zmienia się również—inaczej dziś szuka
Młody wódz drogi zwycięstwa i chwały
Niżeli Fabiusz Kunktator. Lot śmiały
Niemniej on przeto kieruje wysoko
Za celem, który ledwie orle oko
Dojrzeć jest w stanie. Z przeznaczenia szali
Chciał dostać wielkość—in tam gdzie padali
Dzielni i dumni, czyż jego łaskawie
Wiatr szczęścia nie niósł, igrając z nim prawie?

Wielkiego ducha bohaterom trzeba,
Ale i łaski losu.... Jego nieba
Kochają, kryjąc gęstemi wawrzyny
Błąd każdy—jeżeli są błędami czynny
Budzące w piersiach ludzkich uwielbienie.

Scena 2.

Ciż sami.— *Scypio wchodzi z lewej strony rozmawiając z Atarbasem. Sextus i inni przewodnicy postępują za nim, Sewer łączy się z nimi. W końcu przybywa Lukanus.*

SCYPIO (do Atarbasu)

Idź, Massynissie oświadczyć pozdrowienie,
I dzięki moje za czyn dokonany,
Ale nie godzę się na jego plany.
Wojsko w okopach niech spokojnie trzyma
I przed Gisgonem żadnej trwogi nie ma.

(Atarbas wychodzi.—Scypio do Leliusza na proscenium).

Rzecz dziwna, że mi przez posła jedynie
Doniósł o dobrej zwycięstwa nowinie
Radząc mi przytem, bym go rzutem śmiałym
Cisnął co prędzej z wojsk jego oddziałem
Na pomoc Cyrcie, bo Gisgon marszami
Szybkimi grozić ma jej od zachodu....
A przecież Gisgon wczora stanął właśnie
O trzy godziny od Hadrumy grodu,
Cyrta daleko! Mappa mówi jasnie!
Nie, Massynissa zwiódł się bez ochyby.

LELIUSZ (półgłosem)

Scypionie!

SCYPIO

Cóż więc?

LELIUSZ

Daruj, ale gdyby
Chciał też zwiścić ciębie?

SCYPIO

Dlaczego i po co?
Gdy sam nam wierną zrobił się pomocą?
Okropny domysł!.... Lecz czujność ostrożna
Już go otacza. Wkrótce będzie można
Dostać języka!

(Zwraca się do innych)

A, witaj, Sewerze!
Bądź mi pozdrowion i daj ścisnąć szczerze
Dłoń swoją chrobrą. Znam już z opowieści
Dzielne twe czyny, a z głównej ich treści,
Zdasz sprawę w wieczór. Lecz pierwej wygody
I wczasu użyj.

SEWER

Nie, konsulu—młody
Duch w starym ciele, choć weń niepogody
Biły i szron już przypruszył. Za stołem
Nie dla mnie rozkosz. Jasne błyskam czołem
Gdy służba twarda. Szorstka ta prawica
Za mieczem tęskni!

SCYPIO

Stary druha, pono
Jest na to rada. Przed pełnią księżyca
Staniem do bitwy.

SEWER

Czy tak?

SCYPIO

Doniesiono
Mi dziś z Italii, że Hannibal nagle
Stanął w Misenum ¹⁾ z całą swoją mocą;
W powrotną drogę, snadź, skieruje żagle,
Aby się rzucić Afryce z pomocą.

¹⁾ Promontorium Misenum na zachód od Neapolu.

A gdy obmyśli, nie zwleka ni chwili.
Może dziś, teraz już brzegi Sycylii
Zdała są za nim.
(Wchodzi Lukan i rozmawia cicho z Leliuszem)

A o czym to rada?

LELIUSZ

Dziwne zdarzenie! właśnie opowiada
Dowódzca bramy.

SCYPIO

No?

LUKAN

Punita, który
Jako szpieg został z powroza zwolniony,
Dzięki twojej łasce, dziś konno pod mury
Przypadł i wołał do straży zdumionej:
„Lwa zbawcę swego mysz z wdzięcznością wita,
Królowa Cyrty, po Syfaxie wdowa
Jest tam w obozie.“ To rzekł, i z kopyta
Pomknawszy, zniknął.

SCYPIO

A! tam jest—królowa?

LELIUSZ (z wolna, dobitnie)

Patrz, jak to dziwną zespala się zgodą!....

SCYPIO

Czy wrócił Flawiusz?

LELIUSZ

Nie jeszcze.

SCYPIO

Lukanie!
Niechaj mi konia natychmiast przywiodą
(Lukan odchodzi, Scypio zwraca się do innych)
W gruncie nie dziwnem jest owo spotkanie.
Wszak Massynissa miał być niegdyś pewny
Serca i ręki punickiej królewnej
Którą mu Syfax wydarł. Są pożogi,
Którym folgować trzeba. Tej mu drogi
Zajść wcale nie chcę.

SEWER

On z Cyrty królową!....

SCYPIO

Niechaj się łączy, ja nawet—przyznaję,
Chcę tego związku. Wszakże panię ową
Zwiąż wielce mądrą i dzielnego ducha,
Naród ją kocha i z miłością słucha—
Gdy się więc z Rzymu łączy sprzymierzeńcem,
Rzecz to ważniejsza, niż gdyby nam wieńcem
Wygranej bitwy los ozdobił skronie!....

(Cicho do siebie)

Gdzie bawi Flawiusz?

LELIUSZ

Słuchaj mnie, Scypionie,
A gdyby owa córka Hasdrubala
Którą tak bardzo głos ludów wychwala,
Nagięła tylko męża ku swej sprawie?

SCYPIO

Daruj, że troskę tę sobie zostawię,
Znam ja człowieka, wiem co nad nim mogę.

Scena 3.

Ciż sami.— *Flawiusz, wchodzi szybko, z zarzuconym przez ramię płaszczem numidyjskim.*

SCYPIO

Ha! przecież! Cóż nam niesiesz?

FLAWIUSZ

Niosę trwogę!

Rokosz Numidów! Nie, tam nie jest w planie
Odsiecz dla Cyrty, lecz z Rzymem zerwanie.

LELIUSZ

Słyszysz!

SCYPIO

Tak jeszcze nie jest.

FLAWIUSZ

Pokryjomu,

Jako kazałeś, nieznany nikomu
Wkradłem się do nich przebrany, zgarbiony,
Na wszystko patrząc, sam niedostrzeżony.
Widziałem zdala, jak w starszych orszaku
Jadąc przez obóz na pysznym rumaku
Rej wiodła obca i wyniosła pani;
Potem w zamkniętym namiocie zebrani
Wodzowie mieli radę z Massynissą,
Aż nagle jeźdźce dziko trzęsąc spisa,
Zaczęli juki zbierać, siodłać konie.
Stały się wrzaski i harce—na stronie
Padło niejedno słowo tajemnicze,
Roili sobie złotych gór zdobywcze
A spici winem i nagłą swobodą,
Grozili prędko skończyć z rzymską trzodą!

SEWER

To już bunt!

LELIUSZ

Daj nam tych zdrajców!

SCYPIO

Milczenie

Poznają prędko rzymskich trzód znaczenie.
Konia mi prędzej!.... Ty, z twoim legionem
Ruszaj, Leliuszu, klusem wyciągnionym
Prosto na Cyrte. Musisz dostać grodu,
Choć pewny jestem, że ci bez zachodu
Otworzy bramę. Tobie zaś, Sewerze,
Władzę tu moją w obozie powierzę.
Powrócę, zanim godzina upłynie;
Lecz gdybym bawił jeszcze po godzinie,
Obóz Numidów otocz na wsze strony—
Ale nie prędzej!....

SEWER

A dla twej obrony

Kogo wybierasz?

SCYPIO

Ja? Biorę Flawiusza,
Oraz liktora.

SEWER

Wodzu! wielka dusza
Potrzebna mężom, ale to—szaleństwo!

SCYPIO

Trwogą podwaja się niebezpieczeństwo!

SEWER

Konsulu! Bogi kuszisz....

SCYPIO

Z ich natchnienia
Biorę zamiary i postanowienia.

LELIUSZ

Choć weteranów swych przyzwij do siebie,
Weź manipułów dziesiątek ¹⁾. W potrzebie
Ich ramię pierwszej nawale poradzi,
Nim przyjdzie Sewer.

SEWER

Leliusz dobrze radzi,
Zabierz manipułów, panie!

¹⁾ Manipulus wyraża pojęcie pierwszej jednostki taktycznej wojsk rzymskich. Szeregowiec z tej jednostki nazywa się manipulus, manipulus, właściwie, w formie przymiotnikowej Manipularis.

SCYPIO

Czyli po to,

Ażeby z męztwa ślepego ochotą
Za łada trwogą skoczyli do broni,
A ja, po strasznej rzezi, w krwawej dłoni
Musiał zawiesić grozną szalę sądu,
I to odcinał, co jak cząstka ciała
Własnego, jutroby nam brakowała,
Gdyby Hannibal przybił już do ładu,
I żądał boju? Na tego olbrzyma
Dość czasu legie zwoływać, dzisiaj niema
Tego potrzeby. Niegroźne pachole
Za miecz schwyciło—sam z nim skończyć wolę.
Ręka opadnie, gdy się oko w oko
Z nim zmierzę—gwiazda moja łśni wysoko.
(Odechodzi, a zanim Flawiusz i starszyzna)

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Miał czas zbliżywszy się przypatrzeć Kasztelaniciowi Korczak. Była to tak piękna a pańska postać, tak szlachetne oblicze, razem męskiej zawczasu powagi pełne i dobroci, że się w nim na pierwsze wejście pokochać było można. Rycersko wyglądał, Jabłonowski i imieniowi już dobrze zasłużonemu zaszczyt czynił postawą, która wodza w przyszłości dzielnego obiecywała. Niebieskie oczy wypukłe, śmiejące się trochę duże usta, wąsik złocisty podkreślony do góry, twarz biała i zarumieniona świeżo, młodość niemal dziewiczego wdzięku—mimowoli nęciły wejście. Na widok wchodzącego lud w pierwszym dziedzińcu, poczuwszy jakąś w nim starszyzną, podniósł się z ziemi i pozdrowił go szmerem niewyraźnym. Widok ludzi i koni przybywających rozdzielił otuchę.

W porządku przeszli podwórzec pierwszy i zawrócili do drugiego, gdzie ich straż wesołym powitały okrzykiem. Dzień się robił coraz jaśniejszy. Książd Żudra, który tylko co był wstał, wyszedł na ganek i zdziwił się a uradował widząc posiłki. Zaraz tedy obmyślono miejsce na konie przy murach, ludzi do izby na dole wproszono, a Janasz Kasztelanica przepaszając za to, że go nie przyjmuje jakby należało w imieniu Miecznika, na górę z sobą prowadził.

Jabłonowski choć pańsko patrzył ale ludzkim był i wielkim kortexanem. Janasz mu się jako sługa przedstawił, ale to w owe czasy nie szkodziło znaczeniu człowieka, gdy u brata szlachcica był na służbie. Marszałkowali Wojewodowie u książąt Ostrogskich, a najpiękniejszego imienia potomek mógł być u starszego sługę. Więc dlań Kasztelanica był grzecznym i niemal z nim poufałym, acz Janasz trzymał się trochę zdaleka.

Wszedłszy na górę do trochę nagiej izby i zrzucając z siebie płaszcz, Kasztelanica zawołał wesoło:

— Ogadaliście swoje zameczysko, żołnierzowi tak wiele niepotrzeba! Na Boga! za kołnier nie ciecze! okna prawie całe, a w kominie się reszta ognia świeci. To więcej niż człowiek śmiać zapragnąć.

— Chwalić Boga, żeście nie wymagający, racieście się rozgościć—rzekł Janasz, a ja zbiegnę, żebym coś wyprosił, czem byście się rozgrzeli po nocnej słońcu.

Korczak szedł na dół, gdy na połowie drogi Miecznikową już ubraną spotkał. Spojrzył na nią — serce mu się ścisnęło, wspomniawszy wieczorne słowa Jadzi, pocałował matronę w rękę.

— Pan Bóg nam posiłek zesał i pewnie silniejszy niżeliśmy się spodziewać mogli. Zamiast ludzi z cudzoziemskiego autoramentu od pułkownika Du-

łęby, mamy Kasztelanica Jabłonowskiego z jego konnicą, dzielnych kilkunastu żołnierzy.

— Już wiem—odparła Miecznikowa.

— Kasztelanica by czemś przyjąć potrzeba, polewki zagrzzać....

— Idź do niego, ja wszystko przygotuję i przysię. Moglibyście zejść i na dół do nas, bosmy ubrane i już po modlitwie, a radabym poznać syna, bo ojca znam dobrze i podziękować mu za chętną pomoc.

Zwrócił się więc Janasz na górę, aby Jabłonowskiemu oznajmić, że go prosiła Miecznikowa.

Młody chłopak właśnie był się trochę otrząsł i ociągnął, bo przebiegać się pono nie miał w co, a że znać o pięknej swej twarzy wiedział i pamiętał, w zwierciadelfu Janasza muskał wąsika. Włos mu się na głowie, choć krótko postrzyżony w pukle sam związał i gdy czapkę zdjął, a czoło i cała twarz się odkryła, jeszcze wydawał się piękniejszym.

Janasz też miał młodość i wdzięk rzadki, ale się mierzyć nie mógł z paniczem, którego młodość choć rycerska, ale bez troski zbiegła wesoło. Teraz znój, rany, zniekanie Korczaka czyniły niepokojnym prawie chłopakiem.

— Duleba mi o was rozpowiadał — rzekł Jabłonowski — alem się spodziewał was znaleźć w łóżku nie na nogach, boście byli ciężko ranni.

— Alić nie czas się lizać i chorować, odparł Janasz wesoło. Zmęczonym się czuję i osłabłym, zresztą nic mi nie jest.

Rozmawiając o ostatniej przygodzie, zeszli wkrótce na dół. W salce zastali już panią Zboińską i Jadzie skromnie bardzo ubrane. Jabłonowski spojrzał na piękną dziewczkę tak zdumionymi oczyma, że i ona się zapłoniła i on potem zmieszał witając. Ale prędko przyszedł do siebie, bo choć młody, wiele świata widział, podróże odbywał i nie łatwo mu co mogło odebrać zaufanie w siebie. Był, co się nowe czasy zwało, kawalerem wykształconym i dworakiem, francuzkiego tonu i maniery, jak przystało otoczeniu Maryi Kazimiry. Poznała to zaraz Miecznikowa, a w Jadwiś musiał przynajmniej zdumienie wywołać, bo jemu podobnych nie widywała jeszcze. Młodzień, którą w domu rodzicielskim spotykała, wyglądała nieco odmiennie.

Jabłonowski był tak dobrej otuchy jakby już po bił Tatarów i całe się o nich nie zdawał troszczyć. Miecznikowa opowiadała mu jakie jej pismo wczora podrzucono i że wykupu dać nie chciała.

— Bardzo słusznie! odparł młody Kasztelanica, jeżeli zechcą poprobować swych zębów na murach, to je pewnie połamią; czekajmy, zobaczymy czy się waży. Mówił a oczyma piękny chłopak ścigał Jadzie i ile razy wejście jego trochę natrętne spotkało się z jej oczyma, dziewczęgo zaniepokojone niem rumienilo się i spuszczało zrenice.

— Panieście się jak heroiny znalazły, opowiadał mi Duleba—zawołał Jabłonowski—jeszczem w życiu o niczem podobnem nie słyszał.

— Nas do tego zmusiła konieczność—rzekła spokojnie Miecznikowa—śmierć lub niewola zaglądała w oczy, rozpacz kazała się ratować, ale nasz obrońca (wskazywała na Janasza), ten wart najwyższej chwały.

Korczak odstąpił krok, jakby zawstydzony, Jadzia spojrzała nań i oczy jej żywiej błysnęły....

Nadszedł książd Żudra przystrojony na cześć Kasztelanica w sutannę nową, która jako świeżo wyjęta z tłumoka, jeszcze na sobie podróży nosiła ślady. Rozmowa się weszczęła ogólniejsza. Janasz nie śmiejąc się mieszać do niej, pocichu ku drzwiom kroczył. Skutkiem utraty krwi, znużenia nocnego, czy towarzyszących im wzruszeń, właśnie gdy miał wyjść, uczuł nagle szum w głowie, zaćmiło mu się w oczach, ręce wyciągnął usiłując się za coś chwycić—i padł na podłogę omdlały.

Miecznikowa krzyknęła, Jadzia łamiąc ręce przypadła, zapomniawszy o wszystkim, nadbiegł książd Żudra, zawołano ludzi. Zaczęto trzeźwić biednego Janasza, który nie rychło oczy otworzył, z wysiłkiem wielkim rzucił się zawstydzony podnieść chciać, i opadł powtórnie omdlały. Wzięli go więc Nikita z Hołobą pod ręce i wynieśli na górę. Jadzia podbiegła zrazu, ale wzrok matki ją powstrzymał, musiała zostać, książd Żudra podjął się pilnować Janasza i zmusić go, aby spozął dopóki sił nie nabierze.

Kasztelanica zaś z wielką uprzejmością podjął się zaraz zamek opatrzyć i zarządzić czujność ku obro-

nie. Jadzia z zapłakanymi oczyma, nie spostrzegła już nawet jak ją ścigał wejściami i żegnał....

Tak się ten nowy dzień rozpoczął, z lepszą nadzieją. Po słońcu wczorajszej, choć chmury pozostały, deszcz ustał i wicher tylko obłoki pędził obiecując, że się ku wieczorowi wyjaśnić może. O Tatarach słychać wcale nie było, lecz niemniej na baczności się mieć musiano, można bowiem przypuszczać było, że rachować będą na znużenie długiem oczekiwaniem, które zawsze karność rozprzega i niespodziewanie napaść dozwala.

Kasztelanica, chociaż na dworaka wyglądał, żołnierzem był świadomym rzemiosła, przezornym i baczynym. Poszedł natychmiast oglądać mury, obliczyć ludzi, broni i zapasy i Nikicie się prowadzić kazał wszędzie. Nie było kąta, do którego by nie zajrzał, więc i do budynku w pierwszym podwórzu, gdzie go Agafia przyjęła pokłonem. A że tu wiele izb pustych stało, wybrał sobie parę dla spoczynku, aby Janaszowi nie być ciężarem.

Dorszakowa rada, że obrońcę znajdzie, sama mu się ofiarowała je wyprowadzić, bo się o siebie lękała, gdyby sama z Horpiną miała pozostać. Cienie Tatiany i męża chodziły za nią.

Do południa się tak zabawiano, przyprowadzając wszystko do porządku, bo Jabłonowski ludzi swoich, obeznanych z krajem, rozstawił też między innych do pilnowania po murach.

Janasza tymczasem znowu objęła gorączka, której się bronił napróżno. Książd mu w łóżku kazał pozostać. Miecznikowa sama poszła zobaczyć co się z nim dzieje, lecz Jadzi nie puściła już pod pozorem, że tam się z Jabłonowskim spotkać może.

Zaprzatniono się około obiadu, który wytwornym być nie mógł, bo wielu doń rzeczy brakło, a najprzód chleba, który podpłomykiem zastąpić musiano. Piec go nie było ani gdzie, ani komu.

Gdy około południa zjawił się znowu Kasztelanica na ów obiad obłożonych, stół już był nakryty, a Miecznikowa wdychając przepraszała, że głodem morzy gościa musiała.

— Ale cóż dalej pocniemy! odezwiała się, gdy zasiedli. Tatarowie się nie śpieszą, a nas głodem wzięść mogą, bo zapasów wielkich nie mamy. Jam tu niepotrzebna, radabym dziecko i siebie cało ztąd uprowadzić, ale jak?

— Nie wiem jak lepiej radzić — rzekł Kasztelanica — zamek bogdajby przyszło porzucić na mieszczan: nie się tu tak bardzo złego stać nie może. Lecz teraz, gdy się szarańcza poruszyła i łakomstwo jej rozbudzone, gorsza napaść na drodze niż na zamku, a któż wie czy szpiegów tu nie mają. Spieszyć się więc z odwrotem nie można — i gdyby się doń uciekać przyszło, tak go trzeba wykonać, aby był jak największą tajemnicą osłonięty.

— Rada zdrowa, odparł książd Żudra, nie innego do czynienia niema. Zbierać się pocichu do odwrotu, a pierwszą burzę przeczekać. Orde trzeba znać, ruchawa jest, lecz nie wytrzymała. Zobaczymy co będzie.

— Najpewniej, da Bóg, nie — odezwiała się cicho Jadzia — a ztąd się wyrwać co najrychlej, to najlepiej.

— Ludzi kilku postrzelanych mamy, i dla tych trzeba wstrzymać się z odwrotem—mówiła Miecznikowa.

— Żywności i na tydzień starczy, rzekł Jabłonowski — spokojnie więc można czekać, a potem ja i moi ludzie służemy w konwoju aż do bezpiecznego miejsca.

Skloniła się Miecznikowa; mówiono o czem innym; obiad się skończył. Jabłonowski poszedł z dobrej woli Janasza odwiedzić.—Chory choć z silną gorączką, miał całą przytomność i usiłował niepokazywać po sobie, że cierpiał. Z żywej tylko mowy, ze wzroku i oddechu poznać było można, że nie w zwykłym znajduje się stanie.

Kasztelanica rad że rowieśnika znalazł i mógł pogwarzyć wesoło, przysiadł się u jego łóża. Począł opowiadać przygody swe podróże, pobyt na królewskim dworze we Francji, wysmienite figle i zabawy w Jaworowie i Żółkwi i tęsknice swe za tem życiem, od którego był oderwany. Wolałby był stokroć pójść pod Wiedeń z Hetmanem i Królem, ale go żelazna wola Sobieskiego skrepiowała tu na pograniczu. Z mowy domyślać się było nawet można, iż piękne chłopię coś zgrzeszyć musiało, za co mu pokutować kazano.

Janasz pierwszy też raz w życiu młodzieńca tego rodzaju widział zbliżka i lekkości a swobodzie jego umysłu wydziwić się nie mógł. Czasem go raził, niekiedy pociągał, bo w nim było tyle szlachetności co pustoty.

Dotknęło go tylko boleśnie, gdy się bardzo troskliwie o Jadzię dopytywać zaczął i niezmiernie jej piękność wychwalać, którą wyznawał się zachwyconym.

— Prawda, rzekł, że oczy moje na tej pustyni od cudnych twarzy pań naszych odwykły, żem zgłodniały na wdzięki niewieście, ale wśród dworu nawet i najpiękniejszych pań naszych, jeszczeby panna Miecznikówna prym wzięła.

Na pytania natrętne ledwie pół słowy odpowiadał Janasz, z wielkiem poszanowaniem dla pań swoich.

— Nie wiem czemu—ozwał się Jabłonowski, panna Miecznikówna na mnie większe czyni wrażenie urokiem niewinności i prostoty, niż nasze dwórki wyuczone kunsztownego szczebiotania i krygów. Niebezpieczna zaprawdę, bo się w niej do szaleństwa rozkochać można.

— Ale pan Kasztelanie raz ją tylko widział—zamurował Janasz smutnie.

— Alboż to waszność niewiesz, że miłość nie inaczej przychodzić zwykła, tylko od pierwszego wjrzenia zawołał Jabłonowski. Inna niewiele warta.

Płochą tą mowa zmusiła zamilknąć Janasza; niewysłowienie go bolało uwielbienie dla Jadzi, której zdawało się, w jego przekonaniu uwłaczać. Kasztelanie zaś z człowiekiem, którego za dworaka tych pań uważał, nie myślał zbyt słów swych rachować: mówił co mu przyszło do głowy. Chodził po izdebce, czasem do zwierciadła zaglądając, podśpiewując i ciągle wracając do badania o stosunki, majątności i położenie Miecznika, o którym słyszał i wiedział mało. Janasz zmuszony do odpowiadania, starał się w jak najświetniejszych barwach odmalować dom i pana, usiłując natchnąć dlań większem poszanowaniem.

Ale dworak, który się o Senatorów poufale ocierał, słuchał tego dosyć obojętnie i wszystkiego mu znać było mało, bo z tonu swojego nie spuszczał.

— Panna jak malinka! — wołał — jak różyczka — *une beauté accomplie! incomparable!*

Miejszał Kasztelanie dużo francuszczyzny, od pobytu swojego w Paryżu. Naówczas już ona, jak w listach Jana III i innych panów, w części łacinę zastępowała do szpikowania chudniejącej polszczyzny. Z milczenia Janasza mógłby być Jabłonowski wniesić, że mu ta rozmowa przykra być musiała — ale się nie chciał tego domyśleć. Nagradzał to wielką troskliwością o chorego, któremu z dobrego serca sam poduszek poprawiał, bandażę zawiązywał i wody podawał. Gniewać się nań nie było podobna, a jednak Janasz czuł doń urazę za Jadzię. Nie dziwiłby się uwielbieniu — przykre mu było dworackie paplanie i rozbieranie jej wdzyków, zwłaszcza, że Kasztelanie i o Miecznikowej nie z większą rewerencyą mówić sobie pozwalał.

Tak dzień spłynął do wieczora. Nareszcie o mroku poczuł się Jabłonowski do obowiązku obejścia zamku, a Janasz sam pozostał. Odetchnął swobodniej. Czy mu się powoli przymykały do snu, był sam na sam, czuł potrzebę spoczynku, gdy drzwi uchyliły się zwolna i na palcach weszła Jadzia.

Korczak w mroku poczuł ją raczej niż zobaczył i zerwał się z poduszki.

— Panno Jadwigo, zawołał — Królowo! pani! co czynisz! co powie pani Miecznikowa — pani tu!

Jadzia się zmieszła.

— Mama nie nie powie — rzekła zbliżając się, a jeśli mnie polaje, zniosę, chciałam widzieć was na oczy moje; tęskno mi, niespokojna byłam, wytrwać nie mogłam. Myśły ci tyle winne! Czyż grzech, że cię kocham jak brata, mój Janasz!

Korczak oczy sobie zakrył.

Jak pieśń anielska brzmiały mu te słowa.

— Panno Jadwigo, jam sługa, jam nie wart. Pani Miecznikowa gniewać się będzie nie na was, ale na mnie, bo pomyśli żem... żem... zapomniał kto ja jestem, kto wy, panno Jadwigo.

— Jakto? brat, siostra? ktoś inny?

— Pani — i — sługa, sierota.

Zamilkła Jadzia.

— Nie dobry jesteś dla mnie,

— Al panno Jadwigo, życie moje weź, będę szczęśliwy, lecz nie czyni mnie niewdzięcznym.

I powtórzył jakby przerażony:

— Co powie pani Miecznikowa?

Nie odpowiadając na to słowa, Jadzia zbliżyła się do niego, dłoni drżącą położyła mu na czole spieczonem gorączką.

— Idę już, rzekła smutnie — bądź spokojny, Janasz! ty jesteś dla mnie nie dobry. Ale nie — nie — żał mi cię. Jam dziecko nieroztropne i nieposłuszne.

Dobranoc ci — idę.

Janasz nie słyszał, bo zemdlał...

W godzinę dopiero ksiądz Żudra przyszedłszy znalazł go waleczącym jeszcze z młodościami. Krew się rzuciła z rany. Musiano go cucić, zawiązywać, otruwać. Dano pociechu znać Miecznikowej i posadzono kobietę na straż.

Noc już nadchodziła i mrok gęsty padał na dolinę, gdy ludzie przerażeni usłyszeli daleki tentent z końca drugiego wawozu płynący i po nad rzeczką postrzeżono mrowie czarne zwijające się kłębami. Z drugiej strony pędził także oddział na miasteczko. Ze wszystkich parowów razem wysuwała się dzieć jakby na skinienie jedno i z wrzaskiem już biegła ku zamkowi. Lud w dolnem podwórzu cały ruszył się i mury rozległy krzykiem:

— Tatarzy! Orda! Tatarzy!

W tej chwili Nikita z dwoma hajdukami podpalili już most na przekopie dzielącym zamek od miasteczka. Płomień buchnął do góry i rozświetlił razem bramę, w której oknach widać było głów mnóstwo, a w przeciwnej stronie tłum dzieci, która dobiegłszy do na wpół rozrzuconego, palącego się mostu, stanęła jak wryta. Była chwila milczenia a potem ze wszystkich stron, zaczęły krzyżeć Tatarowie: *Allah! Allah...* i w wisku ich pomieszanych głosów nie już, oprócz groźby i zjadłości rozeznac nie było można.

Na górnym zamku panowało milczenie.

Janasz chciał się zerwać z łóżka, krzyknął: Tatarowie! — i padł bezprzytomny.

Koniec tomu pierwszego.

KORESPONDENCYA Z ZAGRANICY.

(Dokończenie).

Kraków, w sierpniu.

Główną sprawę miejską, o którą idzie w danej chwili, stanowi użycie pożyczki półtora miliona złotych reńskich. Kiedy rada przed dwoma laty zaciągała pożyczkę, pojawiły się dwie oferty, pomiędzy którymi należało wybrać. Jedną z nich wniósł bank galicyjski hipoteczny, drugą bank handlowy Sothena w Wiedniu. Pierwsza oferta przedstawiała lepsze warunki i dla każdego nieuprzedzonego była jedynie podobną do przyjęcia, gdyż Sothen wiele stawiał wątpliwości, pragnąc widocznie targować się długo i może przy sposobności oszukać po wiedensku. Była to jednak epoka największego rozkwitu gry giełdowej, wiele osób z Krakowa było związanych stosunkami z bankami wiedeńskimi i dlatego pewna część Radców w sposób nawet nieprzyzwoity i nielegalny, broniła propozycji wiedeńskiej. Rada miasta jednakże znaczną większością oświadczyła się za bankiem hipotecznym i przez to uniknęła znacznych strat. Bank hipoteczny zaś spełnił warunki umowy bez żadnej zwłoki, bez najmniejszego sporu i nawet daleko prędzej niż pierwotnie obiecał. Pożyczka miała być zrealizowaną do 1 Marca 1875 r., a już teraz przed miesiącem bank wypłacił resztę pożyczki i skończył wszelkie z miastem rachunki; a to pomimo trudności, na jakie u nas narozoną była każda instytucja finansowa, wśród przesilenia giełdowego.

Jeżeli jednak bank spieszył z dopełnieniem kontraktu, to zarząd miasta okazał się bardzo opieszałym z decyzją użycia pożyczki na pewne cele. Przyczyną powolności szukać należy w pierwotnym błędzie, iż kiedy zaciągano pożyczkę, nie wiedząc dobrze na co ma ona służyć. Zdawało się, że za te półtora miliona można będzie zbudować szkoły i inne gmachy publiczne, odrestaurować Sukiennice, a prócz tego zaprowadzić wodociągi, wybrukować

miasto. Kosztorysy zrobiono na pamięć i wszystkie okazały się mylnymi, a teraz kiedy są pieniądze, nie robi się nic wcale, gdyż ani jeden plan nie jest wykończonym. Nowego burmistrza czeka więc nie lada zadanie, tem więcej, że jego poprzednik, który sam myśli robót publicznych do upiększenia miasta podjął, upadł właśnie z powodu opieszałości budowniczych w przeprowadzeniu planów do skutku.

Nie mówiąc już o wielkich budowach, których wykonanie potrzebuje znacznie większego czasu, zdecydowano od roku przeszło, wystawienie szkoły dla dziewcząt na ulicy Szpitalnej, obrano nawet dom, przeznaczony do przebudowania; a tymczasem pomimo naglącej potrzeby, roboty nie rozpoczęte i plany nawet budowy w ostatnich dopiero tygodniach ukończone, a jak znawcy twierdzą, nie wiele warte. W zeszłym roku spodziewano się, że szkoła żeńska już teraz będzie mogła być oddaną na użytek publiczny, a tu ledwie za dwa lata gmach stanąć może. Tymczasowo szkoła mieści się w wynajętym domu, gdzie nietylko brak odpowiednich urządzeń, ale i sąsiedztwo techniki nie jest wcale dogodnym dla młodych panienek.

Wakacje szkół niższych i średnich, mają się już ku końcowi, już bowiem od 1 Września rozpoczynają się wykłady; tylko studenci uniwersytetu dopiero zjeżdżają się w połowie Października. Wielokrotnie już zwracano uwagę na potrzebę ujednolnienia wakacji we wszystkich zakładach naukowych, ze względu na rodziców, którym łatwiej razem dzieci na wieś zabierać i razem odsyłać je napowrót do szkoły. Prócz tego wiele rodziców ma zwyczaj powierzać opiekę nad dziećmi, w czasie feryi, studentom uniwersytetu, co znowu spowodowało niedogodność dla obu stron, z powodu różnych terminów wakacyjnych. Zmiana jednak podobna nie jest łatwą do przeprowadzenia, ponieważ trzymają się tu zwyczajów niemieckich zakładów naukowych, oddawna uświęconych. Mniej to różnicy stanowi w Niemczech, z powodu wielkiej liczby uniwersytetów gęsto rozsianych po całym kraju. U nas przeciwnie, mamy właściwie jeden tylko uniwersytet w Krakowie, lwowski bowiem posiada tylko dwa wydziały; z całej zatem prowincji zjeżdża się młodzież na sam kraniec Galicji i podobne urządzenie wakacji pociąga za sobą większe niedogodności.

Pory wakacyjnej używają teraz bardzo korzystnie nauczyciele ludowi. Kosztem rządu urządzone są w tej porze zjazdy nauczycieli na konferencje wspólne w sprawach szkolnych i pedagogicznych, a oprócz tego w większych miastach organizowane bywają kursa specjalne dla nich. Już od dwóch lat przybywa na cztery tygodnie wakacyjne około 60 nauczycieli ludowych do Krakowa, którzy w seminarium nauczycielskiem bywają obznajmiani z najnowszymi metodami nauczania. Wykłady prowadzą profesorowie seminarjów i wyższych zakładów naukowych. Obok metody uczenia, obeznają się nauczyciele ludowi z nowymi dziełami pedagogicznymi, a w ten sposób chronią się od zależenia pola i wzbogacają swój umysł. Koszta ich podróży i utrzymania przyjmuje na siebie w części rząd, a w części fundusz krajowy. Jest to urządzenie bardzo praktyczne. Nauczyciel ludowy przez ciągły pobyt na wsi, łatwo stracić może upodobanie w swoim zawodzie, staje się mechanicznym wykonawcą przepisanych obowiązków; nie mając funduszu na dalsze kształcenie, powoli zniża się do poziomu, wśród którego żyć mu przychodzi, a bieda zwykła w tym stanie, naraża go na zniechęcenie lub niebezpieczeństwo socjalistycznych poduszceń. Przez zetknięcie się z kolegami, nabiera on poczucia własnej godności, utrwała się w obowiązkach wysokiego swego zadania, a wiedza jego nabywa nowego popędu i zachęty do pracy. Położenie jego materialne wprawdzie bezpośrednio nie poprawia się, ale zyskuje on, za pomocą nauki, możność polepszenia z czasem swego losu, a już wiara w to i nadzieja sama powstrzymują go od zgubnych wpływów. U nas szczególnie, gdzie o prawdziwie wykształconych nauczycielach ludowych jeszcze dość trudno, kursa wakacyjne i zgromadzenia nauczycieli, oraz oddziały miejscowe towarzystwa pedagogicznego, wiele przyczyniają się do podniesienia stanu nauczycielskiego; w ostatnich zaś czasach za inicjatywą sejmiku krajowego, zajęto się bytem materialnym nauczycieli ludu i wkrótce już zapewne polepszoną będzie w całej Galicji ich płaca.

W zeszłym roku kursa wakacyjne odbywały się we Lwowie, Przemysłu i w Krakowie, a korzystało z nich razem przeszło 200 nauczycieli, prócz tego około 50 słuchało wykładów rolniczych w Dublanach pod Lwowem, a 20 uczyło się weterynaryi w Gródku i Jarosławiu. W tym roku rzeczy idą tym samym torem, a przeto prócz wiadomości pedagogicznych, wielu nauczycieli nabywa wiadomości praktycznych z dziedziny rolnictwa i chowu bydła. Inni znowu uczą się ogrodnictwa, pszczolnictwa, jedwabnictwa i za pomocą tych wiadomości własny byt poprawiają i wzbudzają zamiłowanie podobnych zajęć u ludu. Sadownictwa uczono już w roku zeszłym w 768 szkołach ludowych, a pszczolnictwa w 318.

Przytaczając powyższe fakta, nie mam wcale zamiaru utrzymywać, że oświata ludu stoi u nas na wysokim stopniu, albo że już wszystko uczyniono, czego było potrzeba; tyle jednak jest pewnem, że sprawa ta stała się u nas na dobrej drodze, że równie rzad, jak sejm, zajęli się nią należycie. Zawsze jeszcze liczba dzieci uczęszczających do szkoły, wynosi zaledwie trzecią część tych, które chodzić do niej są obowiązane, a gdy w niektórych powiatach uczęszcza do 70% na sto obowiązków, w innych stosunek ten zaledwie dochodzi 20 na 100. Za jakie lat dziesięć może się to odmienić. Oświecanie ludu wszędzie jest bardzo świeżą funkcją państwa; ważność jej pojęły najpierw Stany Zjednoczone; początek jej sięga zaledwie początków bieżącego stulecia. Wielu gminom najtrudniej jest zbudować szkołę; obecnie więc Wydział krajowy posiada fundusz żelazny 75000 złr., pochodzący ze składek, od którego procent roczny przeznaczony jest wyłącznie na subwencje gminom do budowania i restauracji gmachów szkolnych. Z procentu tego można wprowadzić zaledwie 10 gminom rocznie przyjąć z pomocą; ale też byłoby prostem łudzeniem się przypuszczać, że w lat kilka można doprowadzić stan oświaty ludu w Galicyi do tego, co bogatsze Niemcy przez lat 60 pilnej pracy zaledwie osiągnęły, — ile, że jeszcze szkoły niedzielne, przemysłowe i tyle innych zakładów uzupełniać musi naukę, ze szkół ludowych wynoszoną.

Wraz ze studentami opuścił nasze miasto teatr i dziś jedyną rozrywką nieopuszczających murów miasta Krakowian pozostały koncerty, muzyki wojskowej w ogrodzie Strzeleckim, jedynym także w tej chwili punkcie zbornym publiczności tutejszej. Obecnie wieczorem około 9, z powodu zebrania się większej liczby wojsk na ćwiczenia jesienne, mieszkamy na Rynku Głównym codziennie wielki capstrzyk z muzyką, która następnie z zapalonemi świecami przechodzi przez ważniejsze ulice miasta, wygrywając piękne marsze, wyjątki z oper, a nawet krakowiaki. Muzykę składają prawie wyłącznie Czesi i Słowacy, ale pułki tu zebrane są galicyjskie.

Wystawa obrazów, po odbytem losowaniu w końcu czerwca, nie napeliła się jeszcze nowemi utworami sztuki. Z piękniejszych obrazów nowych jest tu wystawiona *Kotsisa* Judyta, której może brak w twarzy pełnej determinacji do spełnienia zbrodni, ale natomiast wiele jest szlachetności w rysach i figurze. *Kotsis* raz pierwszy porzucił obrazki ludowe, w których jest tak znakomitem i wystąpił z obrazem historyczno-biblijnym, a dowiódł od razu, że ma prawdziwy, wyższy talent, tak jego *Judyta* jest pełną uroku i piękności. Kilka rzeźb *Gadomskiego* i jedna *Gujskiego* należą również do wielkich ozdób wystawy, która prócz tego i teraz nawet jest bardzo zajmującą, mając wciąż obrazy *Matejki*, *Rodakowskiego*, *Kossaka*, rysunki *Grottera*, rzeźby *Brodzkiego* i wiele innych, chociaż mniej świetnych, ale zawsze pięknych okazów.

Ustały u nas samobójstwa, które się były zagnieździły przed niedawnym czasem i dopiero w ostatnich dniach zdarzył się dziwny, dość tajemniczy wypadek. Do hotelu *Saskiego* zajechała, wracając z *Karlsbadu*, dość młoda przystojna osoba i zawezwała zaraz lekarza. Osoba ta była spazmatyczna, nerwowa; nazajutrz znaleziono ją na ziemi, bez życia. Łóżko było nietknięte. Zdaje się, że śmierć nastąpiła w skutek użycia zbyt znacznej ilości morfiny, ale czy to stało się umyślnie, czy przypadkowo, wieczna zdaje się pokryć tajemnicą, chociaż prawdopodobieństwo przemawia za całkiem niewinnem pozbawieniem się życia.

Przeciwnie bezkrawwie wprawdzie, ale tragiczne morderstwo spełniono tu na dzienniku *Kraj*, który przez lat pięć wychodził, a niedawno pod nową redakcją zwiększwszy format, rokował sobie nadzieję długiego życia. Tymczasem pewnego wieczoru redakcja ze zdziwieniem dowiedziała się ze swego dziennika, iż od wydawnictwa swojego odstąpiła i że dziennik przestaje wychodzić. Niezwykły ten sposób zamknięcia dziennika przez właściciela drukarni dowodził tylko, że nowa redakcja *Kraju* nie posiadała żadnych funduszy własnych, ani żadnych protektorów i porwała się na rzecz tak kosztowną jak pismo codzienne bez zasobów. W takich razach powodzenie zapewnić mogą albo znaniomity i powszechnie znane nazwiska redaktorów, albo nadzwyczaj wyrazista i zdolna redakcja, która od razu zajęła wybitne stanowisko i pociągnęła ogół za sobą. Przytem trzeba jeszcze aby ważne kwestie agitowały społeczeństwo. Ale tak, wśród ogólnej ciszy, przy zwykłym trybie życia, jeżeli ludzie nieznani rozpoczynają wydawnictwo nie mające żadnej wybitnej barwy i do tego jeszcze obejmują dziennik upadający i nawet nie stawiają swego programu, katastrofa staje się nieuniknioną. Że tu nastąpiła w sposób okrywający poniekąd śmiesznością redakcję, pochodziło to z nieokreślonych stosunków wydawnictwa do właściciela drukarni, a dawnego właściciela dziennika. Ten był właściciel pozwalal sobie od początku takich żartów z redakcją, że jej kazał pod pozorem błędu druku, pisać w artykule: jesteśmy centralistami, zamiast autonomistami; zamieszczał artykuły sprzeczne z usposobieniem redakcji; a pomimo tego dziennik nie mógł zmienić drukarni, będąc z nią związanym, jak się pokazało nierozdzielnie. Rzuca to światło na stosunki naszych wydawnictw. Zależą one od drukarni, ponieważ nie przynoszą same przez się dochodu; a drukarnia zyskuje na dzienniku najprzód bezpośrednio, a potem przez reklamę i możliwość rozwoju. Z małym wyjątkiem u nas właściciele drukarni są wydawcami i patrzą na dziennik ze stanowiska własnych interesów; podobnie jak w Wiedniu banki subwencyonują dzienniki, kierując w nich kwestyami ekonomicznymi, a stąd wpływając zarazem na część polityczną. To też w Wiedniu parę dzienników zniknęło wskutek przesilenia giełdowego, parę innych dogorywa, a wszystkie prawie stoją w opozycji przeciw ministrom skarbu i handlu za to, że niedostatecznie pomagają giełdystom i nie ryzykują publicznego grosza na pomoc pieniężną zrujnowanym instytucjom finansowym.

Wiadomo, jak przesilenie giełdowe zeszłoroczne poderwało wiele fortun w Galicyi, a więcej jeszcze nadszarpnęło. Bogu dzięki, mamy w tym roku wyborczy urodzaj, prawie w całej prowincyi, a spodziewać się można, że po tylu fatalnych próbach, nasi ziemianie będą roztrośniejsi i potrafią lepszy czynić użytek z oszczędności. Wszak na miejscu tyle jest sposobów produkcyjnego użycia grosza i dorobienia się fortuny. Nie trzeba do tego giełdy i pośredników wiedeńskich, a nawet instytucje finansowe krajowe dowiodły, iż na silniejszych stoją nogach wtedy, gdy nie wdają się w grę, jak to czyniły dla niesłychanych zysków ale zarazem i strat, banki wiedeńskie, dziś już w znacznej części pogrzebane. Klęski też nie były zbyt srogie w Galicyi. Powódź sprawiła wprawdzie zniszczenie, ale stosunkowo do innych lat nieznaczne; gradobicia były rzadkie i przyszły w porze, w której już część przynajmniej zboża spoczywała w stodołach; wreszcie pożary nie rozwinęły się u nas w takim stopniu jak w Królestwie; chociaż brak zorganizowanych straży ogniowych w wielu miastach uczuwać się dawał. Poraby zatem była do ożywienia się ruchu ekonomicznego, od roku przeszło będącego w zastoju. Nie wiem jak się wywiąże społeczeństwo z tego zadania, dla przykładu wszakże na zakończenie przytoczę smutny fakt, jaki u nas zaszedł przed kilkoma dniami. Policja schwytała na żebractwie człowieka w sile wieku. Okazało się, że należy on do zamożnej rodziny i nie dawniej jak w zeszłym roku odziedziczył znaczny bardzo majątek. Fatalna gra giełdowa i dom gry w Monaco, w przeciągu krótkiego czasu, do niespełna roku, zrobiły zeń żebraka. Pracować ten człowiek nie potrafił; szczęściem... jeśli to szczęściem dla niego, że niedługo spadnie nań prawdopodobnie druga sukcesya, gdyż posiada żyjącą matkę, z którą stosownie do obecnej mody, w złych

zostaje stosunkach. Z pana żebrak, z żebraka magnat, to prawdziwe życie gracza, a po części każdego nieogłędnego na przyszłość człowieka. Ilekroć u nas podobnych wypadków, chociaż nie tak jaskrawych! Żyjemy nad stan, oszczędzamy mało lub prawie nic, pracy na seryo, pracy wytrwałej nie lubimy — i stąd powstaje w stosunkach naszych społecznych osobna klasa proletaryatu inteligencji. Dziś ona o wiele rzadsza, ale potrzeba, aby zupełnie znikła, dla dobra kraju i przyszłych pokoleń.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

(Dokończenie)

— Jak ci zazdroszczę twego idealizmu! zawołała nareszcie z iskrzącym okiem, wzruszona do głębi duszy, *Adelaida*. — Mieć takie serce, to prawdziwe szczęście; bez takiego serca kobieta szczęśliwą być nie może.

— To jest jedyne szczęście kobiecie! odparła *Olga*.

— Inna kobieta inaczej swoje szczęście pojmuje; ja zazdroszczę ci twego; — zakończyła refleksyjnie arystokratka.

Postanowienie *Olgi* krzyżowało nieodzowny interes *Adelaidy*, ale ta liczyła na osobiste spotkanie się przyjaciółki z *Edmundem* i zabrała ją z sobą do *Krakowa*, dokąd też ten jednocześnie prawie przybył. Ale był to inny już *Edmund*. Niestawiał w uczuciach dla kobiety, przeniewierzył się i swym dotychczasowym zasadom socyalnym. Z surowego demokrata stał się jakimś arystokratycznym fireykiem i poduszczony przez wspólną krewną, w tym nowym charakterze, zaraz za pierwszym widzeniem się urzeczywistnił tę wrotkę czy przypowieść narodu biegłego w kunszcie amorów, która opiewa, że „on revient toujours à ses premiers amours“. Przerazona tą zmianą *Edmunda*, zaledwie zdołała go do rozsądku przyprowadzić *Adelaida*, a co większa obudzić w nim wspomnienie *Olgi* i zaciągnięte względem niej obowiązki. Była to pocieszna walka, w której obwiniony używał własnych obwiniających argumentów przeciw ubóstwu i megalomani, gdy *Adelaida* cofając je jeden za drugim, posiłkowała się znowu dawnymi argumentami *Edmunda*. Ale zwycięztwa jej dokonało jawienie się *Olgi*, a zapewne i to, że *Adelaida* zapewniła go, iż połowę swego majątku przekazuje *Oldze*.

Ażeby nie zaćmiewać jej szczęścia, oboje wmawiają w nią, że *Edmund* przetrwał wiernie w swej miłości, jakoż rzeczywiście przysięgał on sobie, że stanie się godnym uczucia *Olgi*. *Adelaida* do tego stopnia przejęła się nowym swem przekonaniem o „szczęściu kobiecem“, że wyrzekła do niej w obec *Edmunda* taką sentencję, widocznie pod wpływem zdania samego autora:

— W dzisiejszym wieku materyi, giełdy i zbytków, jeżeli kobieta chce być kochaną, to musi sama kochać bez granic, kochać całą duszą, a wtedy w ogniu takiej miłości stopi się i uszlachetni każdy, choćby nawet takiej miłości mniej godny mężczyzna!... Pojmujesz to, *Olgo*?... To jest jedyne nasze szczęście kobiecie!... O *Edmunda* nie potrzebujesz się już obawiać. Od chwili, w której stanie się on przez zbieg okoliczności twoim, będzie nim rzeczywiście.

Nie wiemy jak tę apostrofę pojmowała *Olga*, ale my treść jej pojmujemy inaczej. Tę polemiczną filozofię „szczęścia kobiecego“ którą autor na trzystu stronnicach w żywych wykładach obrazach, streszciliśmy umyślnie obszernej i szczegółowej, w przekonaniu, że ona interesować będzie czytelniczki „*Bluszczy*“, które także, każda za siebie, mają co do tego swoją własną filozofię.

Owoż, zdaje się nam, że i w dzisiejszym wieku, jak powiada *Adelaida*, i we wszystkich wiekach, jak my byśmy powiedzieli, nie niema cenniejszego nad prawdę, i że niema szczęścia, któreby nie było opartem na prawdzie. Zimna rachuba, również jak gorąca nieogłędność, jako przymioty jednostronne, nie są dostatecznymi warunkami do szczęścia w miłości, bo albo fałszują zasadę jej, albo szczęście jej budują na

piasku. Fałszywą była pierwotna zasada Adelaidy szukająca szczęścia kobiecego w zadowoleniu ambicji, jak u wielu mężczyzn, a nie w miłości, która jest państwem uprzywilejowanym kobiet, — państwem, bez którego kobieta przestaje być królową w rodzinie. Fałszywą jest nowa zasada Adelaidy, która radzi kobiecie zamykać oczy na to, czy mężczyzna dosyć godnym jest jej albo nie, to jest czy ją dosyć kocha albo nie, bo przy miłości równej, godności te się także wyrównują; — dość ażeby ona go kochała, to już ma być szczęśliwą, ma podnieść męża do godności swojej, czyli do wzajemnego jej ukochania. Zgad to, pytamy się, wziął autor tę pewność, że taka uczuciowa pedagogika ma być absolutnie skuteczną; czy z jakiej racji zasadniczej, czy z obserwacji? Ani jedno ani drugie. Zasady nie widzimy żadnej i autor nigdzie wskazać nam jej nie może; obserwacje są rozmaite, ale te właśnie jak najmocniej walczą przeciw jego zdaniu, jakoby miłość wykuć można z kamienia, niby Galateę, przez ogrzanie go uczuciem własnym, — kiedy ona, przeciwnie, wybiega od razu całkowita i w całkowitym rynsztunku, jak Pallas z głowy Zeusa: na podobieństwo wiary, miłość albo jest, albo jej niema.

Czy Olga byłaby szczęśliwą, gdyby zrozumiała alluzję Adelaidy, to jest, gdyby dowiedziała się prawdy? Apeluujemy do wszystkich czytelników.

Są wprawdzie kobiety, które tak dalece nie subtylizują przy wyborze szczęścia, lecz biorą pierwsze lepsze z brzoza, a nawet całe życie na niem poprzestają, wymyślając sobie różne jego surrogaty: w braku miłości męża, cieszą się w miarę gustu, dziećmi, hołdami, użyciem świata, strojem, książką, plotką. Po większej jednak części są to kobiety beznamiętne, nie zaś bohaterki rezygnacji, która też w żadnym razie niczem nie jest tylko świątecznie przebraną rozpaczą, nie zaś świętem duszy. Rezygnacja chwalebna koniecznością jest w rzeczach, które pochodzą od Boga, słabością w rzeczach, które pochodzą od ludzi, i tylko wielki cel lub wielka miłość nadają jej cechę bohaterstwa. Olga wielką jest w rezygnacji kiedy odstępkuje od Edmunda, jakoby w imię jego dobra; byłaby tylko słabą, gdyby go przyjęła takim jakim był w chwili, kiedy go narzuciła jej Adelaida. To też p. Zacharyaszewicz, który lubi niedomawiać swojej myśli, pozostawiając uzupełnienie jej czytającemu, zawiesił niejako zdanie co do szczęścia Olgi, opartego na szlachetnym podstępnie Adelaidy i przyszłości pozostawił odgadnięcie. Wolemy tak tę rzecz postawić, jako fakt zagadkowy. Lecz w takim razie, jakież jest wynik filozofii „kobiecego szczęścia“, o którym w powieści mowa? Oto najzupełniejszy sceptycyzm.

Wprawdzie autor zdaje się sceptycyzm swój stosować tylko do *dzisiejszego wieku* giełdowego i materialistycznego, przyszłym niejako wiekom pozostawiając produkcję mężczyzn, którzy kobietom zdolni będą zapewnić szczęście oparte na prawdzie, to jest na równości uczuć, nie zaś na ułudzie. Bo i rozmyślnie też wybrał bohatera jakby na udowodnienie swej tezy; że kobieta we własnym tylko sercu szczęścia szukać powinna, nie rachując na pomoc mężczyzn. Edmund jest jednym z najpoczeiwszych, człowiekiem dobrej wiary, ale w punkcie przekonania i uczuć istnem dzieckiem. Oóż tedy mówić o innych, którzy powodują się w mniejszej lub większej dozie złą wiarą? Pozwolimy sobie powiedzieć, że w tem jest znowu pesymizm; i niewiem dla czego mężczyźni dzisiejszego wieku tak stanowczo zostali potępieni w osobie Edmunda. Wszak i dzisiejszy wiek ma nie tylko swoich giełdowców, ale i swoich bohaterów, i autor zapewne temu nie zaprzeczy, znając tak dobrze i swoje społeczeństwo i obce.

Jeżeli nie we wszystkim zgadzamy się z autorem pod względem danych kobiecego szczęścia, to jest jeżeli nie samo tylko zaparcie za jego żywioł uznajemy w kobiecie, podziwiamy jednak jego szacunek dla tego żywiołu, uznajemy rzeczywistość jego istnienia w kobietach, mianowicie naszych i przeto

sympatyzujemy z jego Olgą, która tu jest tak miła i prawdziwa żywiołu tego przedstawicielką. Adelaida, z nadanego jej charakteru, mniej może jest sympatyczną, ale to z czysto przyczyn moralnych: w gruncie, pod artystycznym względem, jest to postać wyjątkowo uwytłaczająca się w utworach p. Zacharyaszewicza. Chciał ją mieć Junonę, każdy też jej ruch, każdy giest, królewskim jest, nie zdradziła się żadnem słówkiem, żadnym czynem: wszystko co mówi lub czyni, cechuje królewska wspaniałość i myśl wyższa; a we wszystkim, co obmyśla i co wywołuje naokoło siebie, zachodzi taka naturalna łączność, taka logiczna prawdziwość, że krytycy nie nie pozostaje tylko zalecić ją jako wzór naśladowania godny. — Plany też powieści dobrze są zachowane, podrzędne osoby usunięte na właściwe odległości, by nie zasłaniały trzech osób głównie działających, nie tak jednak, iżby same przez to ginęły w mroku bezdusznego zamazania. Ojcowie dwojga dziewczę, mianowicie Burski, równie jak stary mąż Adelaidy, widnieją w sam raz, by z tamtymi utworzyć harmonijną grupę.

Jedną rzecz zauważyliśmy pod względem artystycznego wykończenia, na którą i autora uwagę zwrócić powinniśmy. Oto p. Zacharyaszewicz, wbrew zwyczajowi swemu, sam zawiele mówi i te jego monologu tak są częste i długie, że czasami doprowadzają do znużenia myśl już rozkołysaną żywymi scenami, wypadkami lub dyalogami. W ten sposób przeprowadzoną jest tu znaczna część pobudek osób działających, motywów psychicznych, przygotowań do zrozumienia charakterów; czego, — nie potrzebujemy autorowi tłumaczyć, — powieść winna unikać, a rozwijać rzecz swą w sposób obrazowy i dźwięczący życiem, tak iżby czytelnik dowiedział się wszystkiego nie z rozumowań i wykładu autora, ale przez usta i czyny jego bohaterów. Dziwnem się nam, powtarzamy, wydało to w autorze, jako pierwsze spostrzeżenie wśród znacznej liczby utworów jego, które znamy i nie radzimy mu, ażeby przy podobnej metodzie choć chwilę pozostał.

Bez względu jednak na ten zarzut „Szczęście kobiece“ zaliczamy do najlepszych jego utworów. Jest to powieść i pomysłem się odznaczająca i w ogólności dobrze prowadzona. Trafia ona w kwestyę ważną, rozwija się wśród okoliczności znaczących, z życiem naszym bezpośrednio związanych, gardzi wszelką pospolitością, zarówno jak urojeniami, a co krok wyraża lub nasuwa piękne a pożyteczne myśli. Ma ona przez to charakter nie tylko rozrywkowy, ale i kształcący.

Kazimierz Kaszewski.

NA WSCHODZIE, USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbata.

(Dalszy ciąg).

Droge tę ku przystani właściwej odbywają tragarze w dni trzy. Przez wielką rzekę Jan-czi — czjan wpadającą do morza, przy gęsto zaludnionem i bogatym handlowym mieście Szang-hai, idzie herbata w dżonkach. Tutaj zakupują ją Europejczycy; ztąd zaś rozchodziła się ona trzema drogami, o których zaraz powiemy, i do Kiachty poddana szalbierstwu i mnóstwu różnych nieprzewidzianych wypadków, niejednokrotnie okładana w drodze cłami i opłatami, raz pierwszy na komorze miasta Tuncezu, drugi raz w mieście Kałganie, do którego szła drogą lądową na wielbłądach i z jakiego wypuszczoną było

za wrota wielkiego muru, za granicę i Państwa Niebieskiego. Drogi o których wyżej wspomnieliśmy były następujące: pierwsza od przystani Tian-dzin do góry Tunce-zeu głównej komory, a ztąd już lądem do Kałgana (Czian-cze-kou). Druga od przystani Tiandzińskiej szła pewną przestrzeń po rzekach i kanałach do jeziora utworzonego przez wystąpienie z brzegów dwóch rzek przy powodzi, a potem przez to ostatnie do tak zwanego cesarskiego kanału. Tutaj dzięki urzędnikom miejscowym, paki z herbatą przewożonymi bywają na holowniku razem z olbrzymimi transportami rządowego zboża dostawianego dla wojsk konsystujących w Pekinie. Tym sposobem herbata dostaje się do Pekinu, zkad idzie na komorę Tunce-zeu. Trzecia droga prowadzi na północo-zachód do prowincji Szang-si, a potem na północo-wschód przez wielką ilość rzek do prowincji Czyli, której stolicą Pekin.

Tutaj to wszystkie trzy drogi się łączą. Obawiając się Anglików, Chińczycy niechętnie przewożili herbatę morzem. Nie prowadzili również transportów z herbatą drogą lądową, wiodącą przez południowe prowincje, gdyż w tych ostatnich w ciągu pięć lat były trzy straszne powodzie, tak że wiele okolic było zalanych, mnóstwo rzek i rzeczułek wystąpiło z brzegów, a najznakomitsza z budowli chińskich tak zwany przez nich kanał cesarski, przedstawia obecnie smutny i godzien pożałowania widok. Droga lądem na wielbłądach wiodąca przez mało zaludnione okolice, po bezbrzeżnych pustyniach olbrzymiego stepu Gobi (albo Szamo) około koczowisk Mongołów na przestrzeni półtora tysiąca wiorst (licząc od Kiachty do Pekinu) i ciągnąca się dwa i pół miesiąca znakomicie zwiększa cenę herbaty. W tym samym czasie, gdy wydatki na przewóz puda herbaty z Fuczanu do Szanghai osiągały zaledwie rs. 1 kop. 32, przewóz tejże samej ilości towaru z Fuczanu do Kiachty kosztował rs. 10, nie licząc w to cła innych drobnych wydatków. Tak samo frachtę do Anglii kosztuje od 30—40 kop. od puda, gdy za przewóz do Moskwy tej samej ilości herbaty płacono 5 — 6 rubli srebrem, a czasami nawet i więcej. W swoim czasie Tęgoborski obliczał że herbata spotrzebowywana w Rosyi, kosztowałaby mieszkańców cesarstwa o 10 milionów rubli srebrem taniej, jeżeliby został dozwolonym przywóz jej z Kantonu. Życzenia tego pisarza spełniły się: herbata staniała, lecz czy jednocześnie stała się i lepszą? Jestto kwestya drugorzędna dla większej części Rosyi, która jakeśmy to już raz powiedzieli, lubi pić herbatę, lecz smaku jej nie zna dokładnie i nawet o to nie stoi. Rozstrzygało się w Kiachcie ważne nader dla tutejszego handlu pytanie dotyczące zniżenie cła od herbaty cegielkowej opłacanego i zmniejszenia go na gatunkach tak zwanych kwiatowych, zwykle okładanych nadzwyczaj wysokimi opłatami, lecz jak wiadomo, kwestya ta została pominięta i wprost dozwolono przywozu herbaty Kantonńskiej. Tej ostatniej powodzić się będzie w Rosyi, lecz...

Zagadawszy się o herbacie, znowu daleko odeszliśmy od właściwego przedmiotu. Wracamy do niego, ażeby znowu zacząć od początku.

Zapraszamy czytelnika ze sobą do Mai-Ma-Czenu (w przekładzie z mongolskiego znaczy handlowe miasteczko), który od handlowej osady rosyjskiej, w urzędowym języku znanej pod nazwą Kiachty, a w narzeczu krajowców pod imieniem Płosiny (grobli) leży zaledwie o kilka sążni odległości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Osobiste wspomnienie z życia Maryi Somerville, (dalszy ciąg). — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Sofonisba**, tragedia, (dalszy ciąg), przekład Józefa Grajnera. — **Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Korespondencya zagraniczna**, (dokończenie). — **Przegląd piśmienniczy**, (dokończenie), przez Kazimierza Kaszewskiego. — **Na wschodzie**, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.